

Krzysztof Siwczyk

Punkt wyjścia

Zdecydowanie, koniecznie należy udać się po nektar,
Neckarem ku doświadczalnym budynkom politechniki,
pod mostem z ciepłowniczych rur, tunelów z partu,
tak mi się zdawało, kiedy przechodziłem po nich
na drugą stronę ugorzyska, mając pod sobą szcurze
migracje, nieczysty nurt, domowe brudy, ale to były
nieco inne śmieci, zdawałoby się, co poniekórych
przewidzeń, innych dramatów, jatek z morałem,
kiedy nad ranem krew wsiąkała w bitumin jak rosa
w okoliczne szczawie, z których robiło się zacier
pod zupę, a potem od razu, na akord masakra,
oczywiście w granicach przyzwoitości, do zgonu.

Nic tak dobrze nie robi na nerki jak decha, mawiał
głos zza ściany, tego akurat słyszę, chwast jak chwast,
dobry człowiek, rzetelny, sumienny pracownik.
Dostłownie proszek, dosadny pył, to tyle
w jego temacie, nie było gościa właściwie,
odszedł jak się pojawił, przypadkiem, w głupiej pozie,
sprasowany jak kotlet między dziobem a rufą
autka swoich marzeń, *Latającego Holendra*, sądząc po barwie,
blady jak wlepka Żerań, proporczyk wisiał nad lusterkiem,
róźaniec wybił mu oczy, kuleczki turlały się jeszcze długo
przy ściekowej kratce, zanim ktoś z nas nie wziął
się na sposób i potraktował go jak należy, z honorami.

Chociaż, nie ukrywam tego dzisiaj, nie trawiłem
majstra, zapalony ogrodnik, całe dni w zielonych
ogrodniczkach, wypinał silnik z silnika, zajmował się
w najlepsze, postojowe miejsce, jednym słowem, olewał,
wystawiając kram na całej długości parkingu.
Spłynęły rzeką i jego skarby, jeszcze to widzę,
syn spuścił do ścieku meblościankę z pucharami ojca,
za zajęcie pierwszego miejsca w naprawianiu złomu,
odpłynęły w siną pianę kombinerki, imbusy, wahadełka,
młody zwyczajnie spuścił starego, pomógł mu
pożegnać się ze światem, od tego czasu on tylko
czekał na okazję, wybrał porę karmienia wnuka.

Jestem przekonany, że tak właśnie było, prawda
wiersza jest prawdą widma, spektroskopią dla ubogich,
chrzcielnym wdziankiem, z którego wylano kąpiel
bez dziecka, czy nie tak? Inaczej nie mógłbym się spotkać,
przejść dalej, w koncertowe wykonanie dalszych fragmentów
własnego imago, w zupełnie pustej salce korków dla matolka,
klasie wyrównawczej, kącie spustoszonej przez grzyba,
i tak dalej aż do utraty filmu w całkowitym spinie?
A chodzi przecież o postęp, o zerwanie oddziaływania
rzeczywistego, kontekstu biograficznego na kontekst języka
biografii, w punkcie wyjścia, gdzie coś, pytał korespondent
niebytu, zdziwiony powszechnym aplauzem, to nic.

A więc pozostaje czysta radość życia, co też mogło
stać się naszym życiem, gdyby nie to właśnie,
uprowadzenie motywacji, zerwanie bezpiecznego ciągu
logiki, która poprowadzi mechanika przez noce bez dna,
bez zabawek, w spokoju ducha, jakiego zaznał, siedząc
na skraju tapczanu, z twarzą uniesioną w kierunku okna,
gdzie świtały pomysły, własna inicjatywa, otwarcie na nowe
możliwości, których nigdy nie dostrzegał, pogrążony
w codziennej litanii jak Murzynek Bambo, zły
na całe podwórko jak nie wiem co, listonosz bez listu,
macocha bez cudzego pętaka, manewr sterem
na zakotwiczonej jednostce.

Pochwała stereotypu, od tego powinienem był zacząć,
do tego zmierzam, doskonała pełnio, stojąc w wykuszu
z widokiem na teren niezabudowany. Jestem wystarczająco stary,
żeby wreszcie poczuć się wygodnie, w blasku żaru
emitowanego przez pobliskie tranzystory, w muzyce drutów
rozpiętych nad pastwiskiem wołu, w okolicy działających lisa,
chaotycznych posunięciach zakończonych nieuniknionym
sukcesem, ogołoceniem zagrody z paru niełupków morwy.
I uśmiech mojej żony jako konieczny zadatek,
gdy przyjdzie do płacenia ceny za wszystko, co się razem
kochało, bez znaczenia dlaczego, wydaje się
właściwie uzasadniony, tak sądzę, bo on ze mnie zostanie.

Jestem przekonany, że do niczego więcej nie dążę,
optymalnie wyparty rewir, rewelacyjne zaślepienie, głuchy
na pretensje alegorii, która wyzwala komiczną wieczność grozy,
pozostając stróżem nieporządku, człowiekiem, z jakim rozmawiałem
podczas noszenia paczek. Ubywa, jak się nosi, w górę i w dół,
powiedział opierając się o sztyl miotły, lekki jak dowcip,
z którego nie zdawał sobie sprawy, smutny rezerwuuar banału.
Tak właśnie, drogi ssaku, stoisz w przeciągu, dlatego ptaki
wleciały do twojej sieni, twojego królestwa zamiatanego przez
chochoła lepszej sprawy, posłańca skutecznych rozwiązań,
permissywnego spowiednika, który anuluje instytucje
agresywnej winy i narcystycznego zadośćuczynienia.

Dlatego nie zerkam w lustro nigdy, wieczorem robię miny
pod kątem kolejnego wieczora, ustaląm położenie zmar, szczerkam
z radości na samą myśl o kości policzkowej, z jakiej, wypisz, wymaluj,
można odtworzyć losy przodków, którzy też nie byli skłonni
do przesadnego entuzjazmu na widok samych siebie, unikali
spotkań z innymi, tak słyszałem, nie robili za przytulanki,
co ładnie dzisiaj widać w dowolnej sytuacji publicznej,
gremium musi się pomiziać, zanim wpakuje odpowiednie
noże w odpowiednie plecy, tak już musi być i bądź
tu człowiekiem, kiedy nikt nie pragnie cię uznać,
nie zadawała się skromnym skinieniem głowy, a powinien,
bo większość osób, z którymi się witam, widzę pierwszy raz.

Po prostu nie pamiętam zbyt wiele jak bozon cechowania, poszukuję jedynie podobieństwa, ale nie na okoliczność zbawienia, niczego nie chcę przedłużać, broń cię panie boże, chodzi mi o dostojne upokorzenie we własnych oczach, o epifanię powszedniości, do jakiej przyzwyczajają nas wiarygodna literatura, przykładowo obecna w potocznym komunikacie, na modłę jednak inną niż tylko cytaty i łezka wzruszenia. Przykłady można mnożyć, kto jednak zajmuje się przykładami, gdy w grę wchodzi dogorywanie w zaawansowanej chorobie, w technologicznie kosmicznym łóżku, co stanowi jedyny obiekt refleksji bliskich, skazanych na odegranie scenki rozpacz, z której da się wywnioskować aktualne położenie papaweryny.

Nie żegnam się, nie tak łatwo dostać się do dna, skoro zamknęło się nade mną i świeć tu jeszcze nad czyjąś duszą, gdy brnę przez muły, jestem mułem ciągnącym się przez lata, by później waloryzować je odpowiednio do stanu zastygnięcia w pozie lekko przypadkowej, spękanym na widok własnego szczęścia, po które sięgnąć znaczy tyle, co przyznać się do kompromisu, choć dawno zniknęły warunki brzegowe postawy, dajmy na to, sceptycznej. Wymawiam posłuszeństwo głupotkom i natychmiast wpadam w panikę pacjenta, któremu na siłę wciska się wypis, korzystając z dobrej pogody, zachęca powabną anginką, ustala raz na zawsze, że to geranium a nie ciemiężycza.

Natomiast prezydium zajęczków jak zdrowy duch stacjonuje przy pawilonie rady starszych i to jest stanowczo adekwatne, nawet jeżeli koloniści dzisiaj to zapadłe mogiły, a flota Adriatyku zwodowała zaledwie parę zastępów bezwzględnych, entuzjastycznych rencistów na bezpiecznym bosaku, tuż przy burcie łodzi ratunkowej. Żona nawiązała intensywny kontakt z wiewiórką, mnie pozostawiając mniej wymagającego kosa, który żeruje właśnie przy piasku, tłucze w kołpak bez wyraźnego powodu. Tak właśnie dzieje się kontynuacja, jakiej nie dostrzegalem, śpiąc przez lata jak po sporej lufie eteru, na falach prostodusznego zwątpienia.

Nie bój złego, tylko pasywna kanikuła, rozkład godzin
a nie lubieżne rewolucje, gwałtowne skoki ciśnień,
na pełnym morzu, zakończone jednak flautą, cisza
po burzy, cierpliwość ciecia, który wszystko uporządkował,
ale nikt się nie pojawił - te i inne figury posłużą
do pogłębienia koryta, wglądu w nurt rzeki,
o jakiej nie było mowy, gdy rozpoczynał się czas godów.
Kos i wiewiórka, na dzisiaj może wystarczy, jeszcze kąpiel
w lagunie, mroczki przed oczami wpatrzonymi w lustro
wody, przejrzystej do samego dna, na którym łąka ukwiałów
zakwita dla tych, co tam idą. Zostaje błoto porzucone przez odpływ,
gwoździe bez krzyży. Zechce się zejść bez większego powodu.